

tego samego Generała, a i kilku innych, też znacznych Generałów „**ludźmi honoru**”. Ja się niestety z racji wieku na dolce ekstremum odosobnienia nie załapałem, a pewien pułkownik na ówczesnej Katowickiej Akademii Ekonomicznej (dziś Uniwersytet Ekonomiczny) nie zaliczył mi egzaminu ze statystyki, a był to słynny Krwawy Leon, uczelniana gwiazda minionej epoki, idąca za generałami w ogień przemiany dziejów. W sumie wyszło mi to na dobre, gdyż statystykę wystudiuwałem gruntownie, a ekonometrię na piątym roku na ocenę celującą zaliczył mi profesor Barczak, promotor naszych polskich późniejszych guru ekonomii – Balcerowicza i Kołodki. Jakże to były tuzy, niech poświadcz fakt, do czego dziś doszliśmy i jakimż to krajem mlekiem i miodem płynącym dziś jesteśmy. Pogratulować. Toż to czysta poezja ekonomii. Z przewrotną metaforą. Choć uprzedzał o tym nasz kochany profesor-ekonometryk, dzieląc się barwnym opisem naszych dziarskich naukowców.

Powróćmy do Marka Wawrzkiwicza, żyjącej legendy literatury, poety niedooczonego, poety wytrawnego, z którego poezji powinny dziś czerpać całe pokolenia młodych, tyle, że nie czerpią. Dlaczego nie czerpią? Bo nie dostali takiej możliwości. No właśnie nie dlatego, że wrogowie tak zatriumfowali, a on – mistrz i poeta się wycofał. Nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia temu światu. Nie dlatego, że jego dobroć był tak lichy, że gdzieś tam zostanie w pamięci, ale tych najbliższych, najwytrwalszych, zdeterminowanych. Otóż odwrotnie. Odwrotnie i w dwójnasób. **Poezja Marka Wawrzkiwicza jest poezją wybitną.** (Być może napisałbym tak jeszcze o: Miłoszu, Różewicz, Szymborskiej, Zagajewskim, Herbercie, kolejność ma znaczenie, a co do Herberta pewien pytańnik, ale, niech mu będzie). W czym w zasadzie tak naprawdę upatruję tej wybitności poezji Marka Wawrzkiwicza? Otóż w fakcie, że z tych wszystkich gigantycznych nazwisk poetów wymienionych wyżej jedynie Wawrzkiwicz stworzył i zawarł w swojej poezji, w swojej całej twórczości coś, co nazwałbym dziś **pomostem pomiędzy epokami** – pomiędzy poezją Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Staffa, Leśmiana, Broniewskiego oraz wielu innych, pomiędzy epoką Młodej Polski, XX-lecia międzywojennego czy Nowej Fali, a nawet Orientacji Hybrydy, po dzisiejszą poezję: bez wyrazu, bez ładu i składu, bez epok, bez trendów, grup, orientacji i programów. Po dzisiejszą poezję bez ziemi. Dzisiejsza poezja to bowiem chaos, jakiś dychotomiczny efekt motyla zwielokrotniony teorią strun i wielkiego wybuchu zmiksowanego z „zawołaniem ochoczym” – śpiewać każdy może, jeden lepiej, drugi gorzej, słowem miszmasz do kwadratu z perłami rzucanymi między wieprze. (Może by trzeba stworzyć ranking wieprzy?)

Marek Wawrzkiwicz porządkuje to niejako w swoich wierszach. Jest uczestnikiem i genialnym obserwatorem współczesności, wchłaniającym artystycznie cały ten dramat współczesnego języka, jego skrót, dosadność, hałaśliwość i jazgotu, wraz z całą drogą ewolucji od epok, o których wspominałem do katastrofy, którą widać. Wawrzkiwicz w swej poezji wręcz bawi się konwencjami, czasem zaśpiewa echem poezji dawnej, aby cisnąć nam jakże współczesną puentą między oczy, czasem napisze wiersz mocno współczesny, ale jakby inaczej, jakby nie tak do końca tym językiem, nad którym pastwi się dziś tylu poetów. Wawrzkiwicz łączy style, zongluje narracją, cieszy się tworzonym słowem, raduje snutą opowieścią – jest w tym realny, szczery, wiarygodny i świetnie się czytający, czyli jasny i przejrzysty w odbiorze, a przy tym zachowuje ducha, lekkość i świeżość poezji z narzędziem metafor tak bogatym, że ciężko o porównanie. Owszem. To jest lektura dla intelektualisty. Pewien poziom, klasę i zasób wiedzy trzeba posiadać, operować nimi, aby pojąć, zrozumieć i przeżyć, ale Wawrzkiwicz jest w zasięgu dzisiejszego maturzysty, każdego wręcz człowieka, a może być dla niego: drogowskazem, inspiracją i wzorcem poezji. Tutaj mamy tę wybitność. Porzuconą, osamotnioną, niedostrzeżoną i wypartą, ale jakże ma nie być inaczej, skoro współczesny nam profesor literatury na renomowanym uniwersytecie w Polsce szafuje słowem **wybitny** w wykładzie wymieniając nazwiska co rusz nieznanymi nam obszcymurów literatury (którzy tworzą, aby pluć jadem) i indywidualiów z przypadkiem wydanymi tomi z żebrów społecznych po różnych instytucjach, gdzie nieistotnym było meritum słowa i sensu tylko siła jęku oraz plecy tatusia albo takiego właśnie profesorka dziedziny upadłej. (Ja rozumiem, on też musi z czegoś żyć).

Szkoda tylko, że martwa krytyka literacka, albo ta ledwie dysząca elokwentnie akademicka, udaje, że czegoś takiego nie widzi. Udaje, bo jednak widzi, widzieć musi, ale przez gardło jej nie przejdzie choć raz napisać prawdę. Zobojętniałość na obiektywizm zastąpiono terapią szoku. Szkoda.

Mój tekst zapewne wzbudzi gniew, bunt, histerię, może szyderstwo, kpiny, lekceważącą wyższość, przemilczenie, nie wiem. Szanowni Państwo. Od blisko 30 lat przeczytałem ponad kilka tysięcy tomów różnej poezji (rocznie w Polsce od 30 lat wychodzi ich około 500, a nawet więcej) – lepszej, gorszej. Wiele tych tomów stoi na moich półkach. To tomy wybrane (malutki procent tamtych liczb) – subiektywnie ukochane, do których chce się wrócić. Wymienione nazwiska są oczywistością w posiadaniu, lekturze, poznaniu. Wnioski, które wysnułem tutaj i którym się z Wami podzieliłem nie są pokłosiem tego, że jestem

w Związku Literatów Polskich, że Marek jest mojej Żony i moim Przyjacielem, że mógłby „mi coś załatwić” (niczego nie oczekuję, bo nie dbam o zaszczyty, nagrody, wyróżnienia). Skupiam się żarliwie na meritum, na Sprawie, na prawdzie, na szukaniu poezji w słowie, które dostajemy tu i teraz, ale nie dbam o koniunkturalizm i konieczność bycia oryginalnym, które reprezentują naukowcy i akademicy. Ich relacja z publicznością jest żadna. Rezonans społeczny zerowy. Nic nie znaczą. Sami sobie są winni.

Wnioski, które tutaj wysnułem są prawdą, w którą po prostu głęboko wierzę, a jeśli coś w życiu ukochałem szczególnie, to tę publicystykę „o poezji” i o jej związkach z naszym życiem. Wierzę, że bez tych związków, pomostów, ścieżek i dróg nie byłoby w ogóle tego życia. Nie wszystko jest poezją, ale poezję możemy odczuć i zobaczyć wszędzie, jeśli tylko tego chcemy. Możemy z nią być, możemy za nią tęsknić, przygniećeni codziennością i możemy nią gardzić. Miłość i nienawiść na jednej smyczy chadzają. Możemy poezją wypełnić istnienie w tym sensie, że wszystko co nam się wydarza nabierze głębszego, metaforycznego sensu, a oscyluje wokół: miłości, wiary, piękna, szczęścia, spełnienia i jest tylko wyrażone w słowach, ukrytych w naszych myślach. Ta myśl nie zna ograniczeń języka. Chce wyrazić coś inaczej. Tak rodzi się współczesna poezja. Pozornie wolna, bez ograniczeń, może nazwijmy to, wyzwolona, uwolniona od sztam, szablonu, wzorca czy okowów poprawności semantycznej, a jednak nieistniejąca bez wzruszenia albo poruszenia czytelnika.

Poezja ma sens tylko wtedy, kiedy porusza jakieś struny w czytelniku, choćby to był jakiś jeden ostatni osamotniony czytelnik. Poezja ma sens, jeśli gra w dwóch duszach – poety i czytelnika. Wtedy tworzy, jak w malarstwie: arcydzieło, na które możemy stale patrzeć. Tak tworzy się też nieskończoność, wieczność, dzieło i sztuka. Delikatnym pociągnięciem pędzla słowa chwytającego światło sensu i twojej i mojej wrażliwości. Marek Wawrzkiwicz jako poeta sztukę tę posiadał do perfekcji. Stworzył wiersze niesamowite. Takie jak choćby poniższy:

„Może być malutka”

Przecież może być malutka

Wiotka jodła

Sosna

Lub świerk srebrny

Przecież może być gałązka

Z szyszką jedną

Lub bez niej

(Dokończenie na stronie 20)